

KRONIKA

REDAKCJA I ADMINISTRACJA
LWÓW
ULICA TEATRALNA L. 3.

TELEFONU NR. 1566.
ADRES TELEGRAMÓW:
Lwów, Kronika powszechna

POWSZECHNA

TYGODNIK SPOŁECZNY LITERACKI I NAUKOWY.

REDAKTOR NACZELNY:
TADEUSZ CZAPELSKI.

WYDAWCA ZA TOW. IM. PIOTRA SKARGI:
STANISŁAW HENRYK BADENI.

WARUNKI PRZEDPŁATY I CENY OGŁOSZEŃ:

We Lwowie:
miesięcznie K 1
kwartalnie „ 3
półrocznie „ 6
rocznie „ 12
Za odnośnienie do domu do-
płaca się 20 hal. miesięcznie.

W kraju monarchii:
z przesyłką pocztową
miesięcznie K 1'20
kwartalnie „ 3'50
półrocznie „ 7'—
rocznie „ 14'—

w Niemczech:
miesięcznie 1 M 20 gr.
kwartalnie 3 „ 60 „
półrocznie 7 „ 20 „
rocznie 14 „ 40 „

W Królestwie Polskiem
i Rosyi:
miesięcznie — 60 kop.
kwartalnie 1 R. 80 „
półrocznie 3 „ 60 „
rocznie 7 „ 20 „

W innych państwach
Związku pocztowego:
kwartalnie 4 50 fr.
półrocznie 9'— „
rocznie 18'— „

Ogłoszenia za każdy wiersz petitowy, jednołamowy lub jego miejsce na przednich i ostatniej stronach po 12 hal. Na innych po 10 hal. „Nadesłane“ po 50 hal. za wiersz dwułamowy.

PRENUMERATĘ NA W. KS. POZNAŃSKIE PRZYJMUJE KSIĘGARNIA ŚW. WOJCIECHA, POZNAŃ, ŚW. MARCINA 69.

Aleksander Wielopolski.

I.

Stało się, co się stać musiało. W roku, w którym miasta Królestwa oczekują samorządu, zaczęto w Warszawie po długiej przerwie mówić o margrabi. Inaczej być nie mogło.

Naród o takiej sile żywotnej, o takiej wierze w swe wrodzone zasoby i o takim umiłowaniu przeszłości, nie mógł poprzestać na tych zdawkowych, tych lekkomyślnych, tych niesumiennych, a tak już zakorzenionych zdaniach i zwrotach, które za starszymi powtarzali młodzi i które uchodziły pospolicie za sąd potomności o Aleksandrze Wielopolskim.

Czas już było nareszcie przystąpić do rewizji procesu. Pięćdziesiąt lat upływa od wypadków, które wysunęły tę postać na czoło narodu. Można już spojrzeć na nią z wysokości historycznej.

Pragnęlibyśmy, by naród tak na nią spojrzeć zechciał. Margrabia, który według najgłębszego naszego przekonania, przerastał niesłychanie wszystkich polityków naszych doby ówczesnej, nie lęka się sądu. Wymaga on tylko, by ci, co go sądzić mają, zapomnieli o dzisiejszych swarach i niesnaskach, by wydając wyrok, nie pytali przedewszystkiem, czy nie skorzystają z tego ich dzisiejsi przeciwnicy polityczni.

Gdy naród zdobędzie się nareszcie na ten spokój i na tę powagę, może zniknie z kart naszej publicystyki ta zakorzeniona metoda, która niezmiennie ułatwia sobie zadanie, sprowadzając jeden z największych kataklizmów do rzędu pospolitych starć poli-

tycznych i tłómacząc go czynnikami tak drobnymi wobec ogromu dziejów, jak zarozumiałość jednostki, zawiść rodowa, lub wreszcie tajemniczość zamiarów, nie dająca przejrzeć prawdziwej myśli margrabiego.

Czyż to naprawdę nie ulega wątpliwości?

Duma jednostki, jej umysł wyniosły, jej pogardliwy sposób postępowania, miały rozsadzić tę budowę społeczną, której zwaliska budzą w nas dzisiaj podziw i żal? Stolica, kraj, emigracja, ziemie zakordonowe — wszystko to dało się popchnąć w otchłań odmetu przez jeden czynnik, przez przywary i ułomności człowieka, który jak fatum, znalazł się właśnie wówczas na stanowisku naczelnem? Jakto? — na kraj spadła klęska, której z niczem porównać nie można; potężne państwo północne całkowicie wyparło się programu, który z uporem i konsekwencją starało się w życie wprowadzić; ziemie polskie w Prusiech i Austrii zadrżały do głębi; Europa nie wiedziała przez chwilę, czy nie nadchodzi dzień wielkiego międzynarodowego konfliktu; na ogromnym obszarze rozegrał się dramat olbrzymi, a uniknąć go było tak łatwo? Potrzeba było tylko, żeby ten człowiek, oślepiiony pychą, niedbający o ludzi, niedostępny, zechciał przemówić do rodaków, żeby im odkrył serce, które nie przestało bić dla kraju?

Pora już zerwać z tą metodą. Szło tam o ważniejsze rzeczy, niż osobiste urazy i gniewy. A ludzie, którzy tworzyli tę kartę dziejów, wiedzieli o co im idzie.

Kto śledził bieg prac margrabiego i jego pomocników, kto, patrząc na ostatnie strzępy tych prac, sam sobie po sto razy zadawał pytanie: dlaczego? —

kto, budując własny pogląd na dzieje ojczyste, musiał poddawać analizie tyle dogmatów i legend, nieetykalnych rzekomo i ponad wszelką krytykę wyższych, ten niech wysłucha jeszcze tej jednej prośby: niech nie poprzestaje na literaturze historycznej z lat późniejszych. Niech sięgnie w głąb. Niech weźmie do ręki roczniki pism z epoki, w której Wielopolski rządził krajem.

Prasa warszawska była wówczas skrępowana przepisami surowej cenzury. Ale prasa zakordonowa, pełna listów z Warszawy i artykułów, nadsyłanych z Królestwa, daje nam obraz tego, co ludzie stojący w ogniu rozpraw i robót politycznych, myśleli naprawdę o rządzie warszawskim, o reformach margrabiego, o ich znaczeniu dla społeczeństwa, o ich stosunku do ideałów narodowych.

Gdy opanowawszy wzruszenie, bez którego tych spraw dotykać niepodobna, przewracamy karty ówczesnego *Czasu*, uderzy nas odrazu zjawisko znamienne. Ludzie, którzy dzień po dniu pisywali do dziennika krakowskiego o wypadkach warszawskich formowali zagadnienia zasadnicze niesłychanie prosto i jasno. Nie narzekali na tajemniczość Sfinksa, przemawiającego niezrozumiale; nie skarżyli się na niedostępność człowieka, który nie chce porozumieć się z rodakami; nie biadali nad niedocieczoną tajemnicą, która zraża naród do jednostki. Ten ton skargi i wyrzutów, to żalosne wypominanie Wielopolskiemu, iż nie umiał przemówić do narodu słowami, któreby

koło niego skupiły ludzi najdzielniejszych i najpopularniejszych, są to głosy lat późniejszych. Odzywały się one bez ustanku w epoce, w której społeczeństwo oblane krwią, wycieńczone ofiarami, odsunięte od życia publicznego, powiedziało sobie, że stało się nieszczęście i zaczęło szukać winowajcy. Tym, co pisywali do *Czasu* w latach, poprzedzających powstanie, tym trzeźwym, tym umiarkowanym, tym wielbicielom pana Andrzeja, sytuacja przedstawiała się niezmiennie wyraziście. Dziś, po latach pięćdziesięciu, trzeba podziwiać śmiałość i pewność siebie z jaką ci przyjaciele konserwatystów krakowskich określali dzieło margrabiego, pragnienia narodu — i wzajemny stosunek obu tych wrogich czynników.

Niewymowny, przejmujący tragizm, wiejący z pożółkłych kart, które społeczność ówczesna rozchwytywała w gorączce, tkwi nie w tem, iż jedni drugich zrozumieć i przeczuć nie mogli. On tkwi w tem, iż pisarze polityczni doby owej mówili o tych przeciwieństwach, kryjących w sobie zarodek przyszłych wstrząszeń, tak spokojnie, że je charakteryzowali tak dobitnie, że kwestyę stawiali tak rozpaczliwie jasno.

Przedewszystkiem uderza nas, że Aleksandra Wielopolskiego, że naczelnika rządu cywilnego, wymienia się w tych listach i artykułach tak rzadko. Autorowie ich nie wdawali się w subtelne rozróżniania. Nie wiele zależało im na tem, czy ta lub owa reforma była całkowicie dziełem margrabiego,

(Ciąg dalszy).

Lili.

Pacjentem, do którego Krzewiński dążył, był ów „chory z urojenia“, hipochondryk-mecenas.

Zazwyczaj obchodził się z nim doktor z wielką pieczołowitością, pozwalał mu utyskiwać, opowiadać bez końca długie historie przywidzeń, cierpień coraz to różnych, a niepokojących. Dziś załatwił się z nim krótko. Prawie zlekceważył imaginanta.

— Ach! Wszystko w porządku. Jesteś pan zdrow zupełnie...

— Zdrow zupełnie?

Mecenas rozwiera szeroko oczy, jakby nie wierzył własnym uszom! Nie wie, czy ma czuć się przerażonym, czy urażonym. Cóż to za bagatelizowanie chorego?

— A jednak... — próbuje nieśmiało protestować.

— Hipochondrya! — przerywa eskulap szorstko. — Pan wymyślasz sobie różne dolegliwości. Pan jesteś zdrow i koniec!

— Ależ ja wcale nie czuję się zdrowym!

— Czego pan chcesz właściwie? — dorzuca porywczco Krzewiński. — Czy mniemasz, że potrafię panu sześćdziesięciokilkoletnie serce zastąpić innem, młodszym? Czy myślisz, że wyskrobię ze ścian arteryi wa-

pno, które miało chyba dość czasu, by utworzyć osad?

I zostawia ośłupiałego pacjenta, wychodzi bez pożegnania, jakby go jakaś tajemnicza siła wypychała za drzwi...

Dorożkarzowi poleca, by pędził, co koń wyskoczy, z powrotem. Spieszno mu; chciałby jak najrychlej znaleźć się znowu u Lili... Czuje, że stanie przed nią teraz jako zupełnie inny człowiek. W przeciągu tej półgodziny, która upływa, rozjaśniło mu się tyle rzeczy! Ten krótki przeciąg czasu, wypełniony obrachunkiem z samym sobą, zdziałał w nim więcej, niż całe lata nieopatrzego życia bez myśli przewodniej, bez wytkniętego celu. I teraz budzi się w nim nowa siła — siła rozpaczy. Krzewiński czuje, że obecnie słowa jego już całkiem inaczej brzmieć będą i wrażenie też ich musi być inne. Gdy go usłyszy Lili, — nie zdoła oprzeć się ojcu.

To prawie nadmiar siły; to tak, jakby znalazł się ów punkt Archimedesza, skąd cały świat podźwignąć można. Poczucie mocy rośnie w Krzewińskim coraz bardziej. Nie widzi trudności, przeszkód, których nie zdołałby pokonać. On je wszystkie usunie, aby ratować swoje dziecko, bo ono musi być uratowane!

W puch rozbija cały ten komplot niedowarzonych i zwyrodniałych trabantów płci obojga. Rozpra-

czy narodziła się jeszcze w umyśle ks. Gorczakowa, czy też wreszcie jest pomysłem Krzywickiego lub Enocha. Mówiono krótko i węzłowato: „rząd“, „władze“, „system rządzenia“, „państwo“. Walka toczy się nie z jednostką, lecz z systemem, a ci, co ją wszczęli na łamach dziennika, czytowanego we wszystkich siolicach, będącego źródłem wiadomości dla prasy zagranicznej, umieli walczyć piórem. Czy dlatego wypowiedzieli systemowi rządów walkę na śmierć, bo uosobieniem tego systemu był tajemniczy samotnik, nie potrzebujący przyjaźni ludzkiej i nie pociągający ku sobie? Nikt ich zaiste o to nie pisał. Mieli powody inne. Szło im o sprawy ważniejsze. Względy osobiste odgrywały rolę podzędną.

Dreszcz nas przechodzi, gdy raz po raz z niezachwianą wiarą apostoła, nieustraszonego w powtarzaniu umiłowanych dogmatów, rozwijają tę samą loktrynę polityczną. Bywają tygodnie, w których czytamy ją codziennie. Reformy są „złudne“. Są wymysłem „półmędrków“. Mają na celu omamienie ludności. By w ich trwałość uwierzyć, by podać rękę tym, którzy je w czyn wprowadzają, trzeba czegoś więcej: trzeba „rękojmi konstytucyjnych“ i „rozszerzenia reform na prowincje zabrane“. Rękojmie konstytucyjne, to sejm w Warszawie. Rozszerzenie reform, to przyłączenie Litwy i Rusi do Królestwa.

Tego Wielopolski nie obiecywał, tego obiecać nie mógł. Wszelka, choćby najłżejsza, próba wysu-

nięcia tych żądań zamieniłaby jego pracę w niwecz. Wszystko, co umiłował, wszystko, co zdobył, szkoły polskie, rządy polskie, prawodawstwo polskie, wszystko rozsypałoby się w gruzy, gdyby się ośmielił przekroczyć granicę, którą widział przed sobą wyraźnie. A tego żądano od niego dzień po dniu. Tego żądał Andrzej Zamoyski, gdy pozwolił wręczyć sobie adres z pamiętnymi słowy o granicach Polski, które jej zakresliła Opatrzność.

Gdy z tego stanowiska spojrzymy na te lata, brzemienne krwią i łzami, tragizm ówczesnego położenia staje przed oczyma naszymi w niebotycznej grozie. Szło tam o coś więcej, niż o lekceważącą pychę magnata, nie lubiącego dysput z rodakami. Do walki stanęły dwa zasadnicze poglądy, dwa wyznania wiary, dwa światy. Każdy z tych dwóch obozów niósł na swoim sztandarze hasło wielkie, hasło, mogące rozgrzać duszę działacza politycznego, zdolne zachęcić go do poświęcenia całego jestestwa, do złożenia siebie samego w ofierze.

W jednym obozie widzimy kwiat inteligencji polskiej, widzimy najświatlejszych przedstawicieli ziemiaństwa, które w społeczeństwie ówczesnym całkiem inne, niż za dni naszych miało w narodzie znaczenie. W obozie tym widzimy znakomitych obywateli Polski zakordonowej, widzimy najpoważniejszych przodowników emigracji. Cały ten obóz z ogromnymi zasobami talentów, wiedzy, cnót obywatelskich, zużywa wszystkie swe siły umysłowe i moralne, by

wi się ze Skorskim. Oczyszcza atmosferę swego domu gruntownie. Porzuci wobec Lili rolę starszego kolegi, a zajmie stanowisko ojca, świadomego swej odpowiedzialności. I uczyni to zaraz, nie zwlekając ani chwili.

Powie jej:

— Oczom moim odkryła się nagle prawda, dotąd niewidziana, chociaż obok niej przechodziłem co dnia... Puściłem cię w życie, jak na skłębione morze łódkę bez steru i wiosła. Teraz łódkę oną zawiodę ku bezpiecznej ostoi, a dam jej, co należy, aby oprzeć się mogła nawałnościom.

Przyciska rękę do głowy.

— Nie, nie! To są metafory. Skąd raptem ów styl biblijny? Tu musi być poprostu powiedziane, o co idzie. Precz z mętną obrazowością i z kaznodziejskim namaszczaniem!

Zatem jej powie:

— Od tej chwili rozpoczynamy nowe życie. Tamto, które prowadziliśmy dotąd, ma być zamkniętą księgą. Musi już raz na zawsze ustąpić przypadkowość, ślepe zdawanie się na łaskę i niełaskę trafu. Życiu należy z góry wytknąć drogi, cel sobie określić jasno, rozwinąć w niem świadomość istot obdarzonych duchem. I ufać należy, iż jest moc ponad nami, która wspomaga takie usiłowania. Więc zbliżyć się do onej

mocy, więc ukorzyć się przed nią, więc tam szukać oparcia...

Tak! To najpierwsze ze wszystkiego: religia. Ją dopuścić do głosu! Miliony serc żyją chlebem słowa Bożego, które jest słowem prawdy odwiecznej.

Doktor przypomina sobie, jak wiarę oną wpajano mu za lat młodych w domu i jakim szczęściem opromieniała mu wiosnę życia. Sam nie wie, kiedy i gdzie ją zatracił... Teraz odzyskana będzie i lekiem stanie się dla schorzałej duszy jego dziecka.

A za tem pójdzie już wszystko inne...

Wielkie słowo Ojczyzny ciśnie mu się na usta. Puścym było dlań dźwiękiem, błędnym ognikiem na manowcach przygodnej frazeologii, finałem solennych przemówień na bankietach, przyprawą klubowych *quasi* politycznych dysput, konwencyonalną formułą! A przecież sama konieczność przyrodnicza tkwi w pojęciu Ojczyzny i konieczność etyczna dyktuje służbę dla niej dożgonną. To tak, jakby czciło się pamięć ojca i matki; to tak, jakby dziecku swemu budowało się przyszłość.

Nie rozumiał tego dr. Krzewiński nigdy jaśniej, jak obecnie. I rozbrzmiewają w nim dalsze, zbawcze hasła: społeczeństwo, rodzina, umiłowanie biednych i cierpiących. Rzeczy wprost cudowne!

przekonać ludzi, dzierżących władze w ręku, że są na złej drodze, że jest inna, krótsza, prostsza, wygodniejsza, że kwestyę polską w Rosyi można rozstrzygnąć odrazu, jeżeli z Królestwem połączy się Litwę i jeżeli się tym ziemiom nada prawa konstytucyjne. To, co naród w chwili najsilniejszego napięcia mógł z siebie wydobyć, walczyło o rzecz nieziszczalną, o zdobycz, której żaden geniusz męża stanu, żaden kongres europejski, żaden rozpaczliwy wybuch nie mógł zapewnić polakom. O konieczności takich ustępstw miały Wielopolskiego przekonać zimne, niedowierzające twarze ziemian mazowieckich i długie, błyskotliwe elaboraty statystów krakowskich i oporna, harda postawa stolicy. Żądano niemożności.

W obozie drugim nieliczna była załoga. Przy Wielopolskim szczupłe widzimy grono. Margrabia nie był tak naiwny, żeby nie rozumiał tego, czego go potem i za dni jego ostatnich i po śmierci uczyli spóźnieni doradcy, żeby nie rozumiał, że trzeba przekonać społeczeństwo o słuszności swych pomysłów.

Margrabia wiedział o tem równie dobrze, jak my, którzy patrzymy z perspektywy dziejowej na jego zapasy, na jego powodzenia i na ostateczną klęskę. Ale wiedząc o tem, wierzył, że najsilniejszym argumentem w tej rozprawie ze społeczeństwem polskim będzie czyn... Był pewny, że czynami zdoła ostatecznie przekonać tych, których nie przekony-

wają słowa. Liczył na to, że gdy polakom da rządy w kraju, gdy im otworzy wrota samorządu w mieście, w powiecie, w gubernii, gdy im pokaże, że dzięki jego zabiegom wszystkie stanowiska wyższe zajęli nareszcie krajowcy, naród zrozumie tę jego wymowę i nie odmówi mu moralnego poparcia. Liczył na to i w tem się omylił. Wymowa czynu zawiodła. Naród się odwrócił; słuchać nie chciał argumentów, ujętych w czyn, pod rozwagę brać nie raczył.

Jeżeli taka omyłka jest winą, Wielopolski zawinił. Przeceniał siłę faktów. Mówił do współczesnych językiem, którego nie rozumieli. Chciał swoje pokolenie przekonać słowami, które rozumiały się stały dopiero dla pokoleń następnych.

Ładeusz Smarzewski.



Dobre czyny i dzieła.

Moralność, ofiarność, poświęcenie, miłość bliźniego, — oto są synonimy istotnej, a nie pozornej jedynie cywilizacji!

Oto i lekarstwo na ów rozstrój nerwów, którego objawy tak nas wszystkich przerażały we Lwowie w ciągu listopada...

Wszystko to teraz usłyszysz Lili. Ale ojciec nie poprzestanie na wyrazach. O nie!... Jak mu serce tłucze się w piersiach!...

O, Lili! To te potężne motory istnienia uderzają w nie młotkiem. O, Lili! One także twojem wątem serduszkciem owładnąć muszą i pobudzić je do rozwinięcia sił drzemających... Nie możesz być listkiem, któremu odcięto dopływ soków żywych z macierzystej gałęzi, z pnia wspólnego, — listkiem skazanym na to, by zwiędł przedwcześnie i opadł... Ty, Lili moja, żyć musisz, a żyć prawdziwą pełnią życia; ty musisz, Lili, radować się i boleć w dążeniu do celu, wytkniętego przez Boga, przez Ojczyznę, przez ludzkość.

Lili, Lili!...

Chrapliwy, złamany krzyk dobywa się nagle Krzewińskiemu na zsiniałe usta... Instynktownie wyciąga ręce przed siebie... Ale one opadają zaraz, a wśród tego chyli się głowa na bok i doktor bezwładnie, jak kłoda, wali się na poduszki siedzenia...

Bez ruchu stoi Lili... Zda się skamieniała. Nie może jeszcze nic zrozumieć z tego, co zaszło przed chwilą.

Oto wtargnęli tu obcy ludzie i wnieśli ojca... Zdarli z niego odzienie, układli go do łóżka... Ta po-

stać nawpół martwa, z wysadzonemi oczami, z twarzą nabrząkłą i purpurową, — to jej ojciec, najlepszy, najmiłszy przyjaciel!...

Młody lekarz, mieszkający w tym samym domu, nadbiega z pomocą. Bada chorego, wydaje zarządzenia. Zbliża się do Lili...

— Niech pani zbierze siły — powiada — nie mogę zataić, że wypadek jest ciężki... bardzo ciężki.. Pobiegnę jeszcze po kolegę... Przedtem jednak...

Zniża głos...

— Pani! Czy ojciec wykonywał praktyki religijne? Bo tutaj przedewszystkiem do wyższej uciec się trzeba pomocy...

Lili pociera czoło. Drgnęło w niej życie. Wraca świadomość...

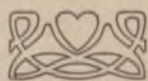
— Pan?... Człowiek nauki?... Jak pan to możesz mówić? Kto pana tego nauczył?

Lekarz z powagą, do której przyłącza się nuta współczucia, odpowiada:

— Mój stary profesor!

(D. n.).

Stanisław Rossowski.



Materyalistyczna cywilizacja — antyteza chrześcijańskiej, jedynie hartującej ducha, — źle w tym mieściu zdała egzamin, ponieważ zaświadczyła szamotaniem się naszego ogółu, że, rozwijając w człowieku li przesadną troskliwość o spokój i osobiste wygody, czyni go niezdolnym do mężnego oczekiwania klęsk i przewrotów. Zdaje się, że takiej wojny, jakiej wiódłoby wytrąciło nas z równowagi, na razie unikniemy, ale nauka, którą da się wyciągnąć z listopadowych objawów przerażenia, zmarnieć nie powinna. Gdyby społeczeństwo nasze zechciało wejść w przyczyny własnego rozstroju, upadku ducha, rozbieżności pragnień, a postanowiło je usunąć, można byłoby cieszyć się z tego, że przyszła na nas taka próba siły moralnej i żeśmy jej nie wytrzymali, gdyż niewątpliwie zaczęłaby się naprawa...

Francuzi, którzy w materyalizmie grzęźli bardzo długo, aż doczekali się moralnego i nawet fizycznego skarlenia warstw najszerzych, rozpoczęli w ostatnich czasach wyteżoną pracę nad obudzeniem w narodzie uczuć rycerskich. Działają w tym kierunku najlepsi ich pisarze, jak Bourget, Lotti, Rostand, Leuchtenberger, a profesorowie z katedr Sorbonny wskrzeszają metafizyczną filozofię. Jednocześnie Akademia francuska, z właściwą jej uroczystością, nagradza ciche cnoty, poświęcenie, ofiarność, zgoła czyny miłości bliźniego, wskazując przez to wyraźnie narodowi, że zapomnienie o sobie, a więc idealizm, jest źródłem odradzającego społeczeństwo.

Ludzie pozornie przeciętni, nieznani, bardzo skromni, dostąpili w tym roku nagród i hołdu ze strony czterdziestu nieśmiertelnych akademików, stanowiących pod względem intelektualnym czoło narodu i jego dumę.

Kogo nagrodzono?

Jakie cnoty postawiono za wzór narodowi?

Oto — panna de Malenville, córka ubogiego urzędnika, funduje przytułek opuszczonych dzieci, zakłada dla nich szkołę, oddaje na to cały swój zarobek, cały odziedziczony majątek, całe... życie. Oto znowu trzy młode robotnice z Tuluzy co dzień po wyjściu z fabryki zajmują się opuszczonymi starcami, pocieszają ich, bawią, zachęcają do takiej dobroczynności inne towarzyszkę i w końcu tworzą stowarzyszenie, złożone już z 600 robotnic, które biorą pod swą opiekę tyluż starców, pozbawionych rodziny. Oto dalej malarz Yperman dowiedział się, że w wiosce, w której odnawiał kościelne freski, grozi przytułkowi sierot po śmierci opiekunki ruina; zabiera tedy do siebie sierotki, umieszcza je w swym mieszkaniu, a sam przenosi się do pracowni i żyje odtąd wyłącznie dla swych pupilów. Ks. Damlencour w taki sam sposób uratował 300 sierot, dał im zawodowe wykształcenie, każde takie dziecko wychował na pożytecznego członka społeczeństwa. Akademia wynagrodziła kilkudziesięciu takich opiekunów.

A oto znowu inny rodzaj czynów szlachetnych.

Ks. Longuenesse założył w r. 1878., w Jerozolimie, szkołę francuską, z początku jedną, potem drugą, następnie w Jaffie, Nazarecie, Betleemie, w Bejrucie, na Rodosie — i tak w ciągu lat trzydziestu, wyłącznie z jałmużny, utworzył mnóstwo szkół francuskich w Azji mniejszej i Afryce północnej, wychował mniej więcej 40.000 dziatwy arabskiej, druzyskiej, egipskiej i przez to znakomicie upowszechnił wpływ francuski. Albo oto znowu panna Genin, dyrektorka własnej szkoły pielęgniarek, wykształciła ich 9.000 i posyłała je do francuskich kolonii, do Tonkinu, Anamu, Madagaskaru, Marokka, aby tam pielęgnowały chorych i rannych.

Z kolei następuje inny rodzaj poświęcenia: chłopiec, lat kilkunastu, skacze na wściekłego psa, trzymając go z wyteżeniem wszystkich sił, nie zważając na jego ukąszenia i tak ocala wielu innych chłopców; ksiądz rzuca się kilka razy do wezbranej Sekwany i za każdym razem ratuje tonących; uboga nauczycielka wiejska pielęgnuje kalekich starców, im poświęca swój czas wolny i swój zarobek.

Długi jest zaiste spis czynów szlachetnych, zbawianych, ogłoszonych i nagrodzonych „za cnotę“ przez Akademię francuską. Jakżeż pięknie świadczą one o narodzie, który wydaje tylu zacnych ludzi! Pieniężna zaś wartość nagrody nie tu nie znaczy. Ważne jest to, że podobne czyny są wyszczególniane, głoszone całemu narodowi, czczone publicznie i wskazywane jako wzory do naśladowania.

Takie stawienie cnoty przydałoby się i innym społeczeństwom. Nie można prawie wątpić, iż gdyby nasza Akademia Umiejętności uczyniła pierwszy krok w tej mierze, znalazłoby się niezwłocznie na to fundusze... A miałyby także i niepospolitych do nagrody kandydatów!

Bo przypomnijmy sobie tylko słynną warszawską... szwaczkę-filantropkę, Emilię Lachmanównę, albo wileńską Teklę Iwicką, która tysiące opuszczonych dzieci uratowała od prawostawia. Albo ks. Jana Beyzyma, „ojca trędowatych“ na Madagaskarze. Lecz ci już przeszli do lepszego świata.

Powiedzmy więc o żyjących, a pomoże nam w tem p. Józef Trepka, który zaczął właśnie wydawać krótkie biografie wielkich naszych filantropów, pod wspólnym tytułem „Dobre dzieła“.

Oto — o. Laetus Bernatek, od r. 1891. przeor OO. Bonifratrów w Krakowie. Zastał on w tym klasztorze szczątki szpitala na łóżek kilkanaście i nie miał żadnych środków pieniężnych na urządzenie porządnej lecznicy. Przeto zaczął zbierać składki, uszczuplił cele zakonnej braci, kołatał o pomoc do osób prywatnych i instytucji — i tak urządził wzorowy szpital na 60 łóżek. Ale nie poprzestał na tem; dopóty zabiegał, dopóki nie zbudował osobnego gmachu na 120 chorych, oprócz sal operacyjnych, odpowiadających najnowszym wymaganiom medycyny i higieny, i oprócz ambulatorium dla przychodniów. Liczba osób

które w r. 1911. leczyły się w tym szpitalu, osiągnęła 1749-ciu.

Znowu inny filantrop. Ranny ciężko w r. 1863., artysta-malarz, Adam Chmielowski, porzuca swój zawód, przejmuje się ideą św. Franciszka z Assyżu, zakłada na Kaźmierzu w Krakowie zgromadzenie braci Tercyarzy, a potem zgromadzenie sióstr Tercyarek, znanych pod popularną nazwą Albertanów i Albertanek. Któż ich nie zna w Galicyi? Są już w wielu naszych miastach, wszędzie roztaczając opiekę nad tysiącami opuszczonych, bezdomnych, kalek, sierót lub tych nieszczęśliwych, którzy otarli się o więzienie. Osiadają w dzielnicach miejskich, wydanych na pastwę nędzy, upadku, często zbrodni, garną do siebie ofiary złego życia, niedoli moralnej, dają im przytułek, dobre serce, zajęcie i tak podnoszą je z upadku. Jakiegoż zaparcia się potrzeba, jakiej woli, żeby pracować w tej sferze i zbierać jeszcze jałmużnę, która tak rzadko dawana bywa chętnie!

Innym typem filantropa jest proboszcz w Szynwałdzie, pod Tarnowem, ks. Aleksander Siemieński. Kiedy przed dwudziestu kilku laty przybył on do swej parafii, przedstawiała ona gromadę nędznych chałup, w której mieszkali ciemni, rozpojeni w siedmiu szynkach chłopi. Żle uprawione pola, nigdzie ani jednego drzewa, strzechy dziurawe, porośnięte mchem, ludność w łachmanach — oto ogólny obraz tej wioski. Zaczyna proboszcz rozpoczął przedewszystkiem walkę z pijaństwem. Za pożyczone pieniądze wydzierzał prawo wyszynku i zamknął wszystkie karczmy. Następnie jął zniewalać włościan do lepszej uprawy roli, do zakładania sadów i pasiek, do tworzenia spółek i posyłania dzieci do szkoły. Dziś wioska ta przedstawia wzór ładu i zamożności. Miejskowa kasa oszczędności posiada 180.000 koron, złożonych na książeczkach. Głośny Szynwałd ma sklep akcyjny, straż ogniową, piętrową, murowaną gospodę, gdzie odbywają się zebrania, zabawy, teatru włościańskie, ma dwie ochronki pod kierunkiem Służebniczek, dalej szkołę wiejskich gospodyń z internatem, spółkę mleczarską, wreszcie warsztat wyrobu guzików i trykotów. Jeden z dawnych nędzarzy założył młyn, drugi — tartak, trzeci stał się człowiekiem tak zamożnym, że kiedy ksiądz postanowił zbudować nowy kościół dał zaraz na ten cel 8.000 koron, jedna zaś z gospodyń ofiarowała połowę swej ziemi, 30 morgów, pod Zakład skargowski, który będzie instytucją taką, jaką jest Zakład w Miejsu Piastowem... Nie masz we wsi ani jednego analfabety, a natomiast rozwinęła się taka chęć oświaty, że zamożni chłopi posyłają swoich synów do szkół średnich i wyższych, nawet za granicę.

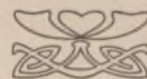
Od tych słonecznych obrazków p. Trepiński przejdźmy na grunt lwowski, aby tu spojrzeć tylko na jeden czyn miłości bliźniego...

Pani Ł., osoba niegdyś zamożna, szczęśliwa, otoczona liczną rodziną, dziś samotna staruszka, o siódmym już krzyżyku, żyje z lekcyj, które daje dzień

cały, a co wieczór biegnie do swej gospody „Pod Cieślą z Nazaretu“. Tam zaś zbierają się wyrostki ze sfery robotniczej, t. z. koziarze, terminatorzy, dzieci bezdomne. Ona poi ich herbatą, zabawia lekturą i opowiadaniem, robi co może ku uszlachetnieniu, a na wszystko łoży z własnej, szczupłej kieszeni. Starąta się o pomoc, ale — trafiła nieszczęśliwie, gdyż do takich osób, które chciały na wieczory te wnieść politykę i nadto żądały, aby gospoda nie nosiła nazwy „Pod Cieślą z Nazaretu“ lecz inną, jakąś bardziej... *moderne*. Staruszka nie przystała wszakże ani na jedno, ani na drugie i jakoś sama daje sobie radę. Kto chce zobaczyć ten zakład, niech pójdzie przechadzką do stacji tramwaju przed dolnem wejściem do parku Kilińskiego. Tam na rogu dwóch ulic mieści się gospoda.

Oto pobieżny przegląd „dzieł dobrych“. Czy nie warte one nagrody cnoty? I to nie ku pożytkowi tych ludzi wielkiego poświęcenia, wielkiej miłości bliźniego, ale ku nauce powszechnej, ku serc pocieszeniu!

Litwin.



Ze wspomnień o Kraszewskim.

(Odczyt wygłoszony na obchodzie jubileuszowym we Lwowie d. 20. listopada r. 1912).

(Ciąg dalszy).

O tej tak pożądanej zmianie doniósł mi Kraszewski bez zwłoki.

„Drogi przyjacielu — pisał d. 26. października r. 1885. — Dzielę się z tobą dobrą wiadomością, która mnie oszołomiła. Najjaśniejszy pan raczył udzielić mi urlopu aż do maja, za kaucją 20.000 marek. Czekam tylko nadejścia pieniędzy, ażeby wyjechać dokądkolwiek — bądź, do Włoch, nad morze, gdzie łagodna zima, czuję się bowiem bardzo osłabionym. Nawet podróż odbywać się będzie z częstymi odpoczynkami. Łaskę tę zawdzięczam staraniom ks. Antoniego Radziwiłła. Niechaj mu Bóg błogosławi, gdyż upadłem zupełnie na siłach. Bądź tak dobry zawiadomić o tem mego pocziwego doktora, Kaźmierza Szwykowskiego i Chadźkiewicza. Nie mogę pisać tak jestem zmęczony i wzruszony. Gdy zajadę, nie wiem, gdzie cię o tem zawiadomić? Pomimo radości, lękam się, czy zniosę podróż.“

Ostatni list z Magdeburga nosi datę d. 2. listopada t. r.

„Drogi przyjacielu! Pewne formalności zatrzymują mnie jeszcze tutaj, a że są nieodzowne, poddaję się więc konieczności, pomimo mego zniecierpliwienia. Mam nadzieję, dziś lub jutro otrzymać uwolnienie; jeszcze dotąd siedzę w mojej celi. Władze tutejsze byłyby rade oszczędzić mi opóźnienia, ale nic wskórać nie mogą. Jak tylko będę wolnym pojedę na Gotarda małemi eta-

pami, najpierw przez Genuę, gdzie odpocznę parę dni, a potem do San Remo. Zanim postanowię, gdzie mam spędzić zimę, muszę widzieć, poradzić się lekarzy i zastanowić się uważnie. Ponieważ we wszystkim ściga mnie nieszczęście, przeto musiały wypaść właśnie dwa dni świąteczne, ażeby opóźnić formalności! Biura były pozamykane. Może jutro lub pojutrze otrzymam urlop i paszport.“

Więzienie zniszczyło do ostatka zdrowie Kraszewskiego. Prusacy wymagali przytem powrotu jego do Magdeburga, grożąc konfiskatą kaucyi. Czytał i pisał bez przerwy. Praca odrywała go wprawdzie od rozpaczliwej rzeczywistości, ale czytanie to i pisanie kosztowało wiele, troski zaś nie ustawały, niestety!

Teraz pisze już po polsku, z Genui, pod datą d. 24. listopada r. 1885.

„Było chłodno i słotno, ale wyjaśnia się od wczoraj i ociepla. Cudowny kraj i klimat! Wiosna. Palmy i banany, kamelje etc. pod gołym niebem, ale też za to płacić trzeba grubo, grubo. Muszę ponieść te ofiary i nie skarżyć się na nic.“

W grudniu osiadł w San Remo. D. 9. t. m. prosił o wysłanie mu z Paryża „extra cienkiego papieru“ do pisania. Dodawał przytem: „Bardzo mi źle na zdrowiu. Nagła zmiana rozprzegła mi nerwy niesłuchanie. Dziś rano byłem fatalnie nastrojony, nie mogąc ich okiełzać. Pora prześliczna, ciepło i słońce. Grudnia takiego nie znałem, ale czuć, że to nie wiosna jeszcze, natura żyje, jakby pół-uspiona, w letargu, nie widać prądu żywotnego. Nie mogę się z tem wszystkiem jeszcze oswoić, ani urządzić po myśli, nie swojsko mi tu jakoś.“

D. 22. grudnia nadmienia o nadziei, która zawiodła go wkrótce. „Z obawą i trwogą serdeczną czekam d. 2. stycznia, czy cesarz da amnystią ogólną. Jeżeli nie! czeka mnie wiele, wiele jeszcze utrapień z tą kaucją, którą potrzeba mi utrzymać na starość.“

D. 8. stycznia r. 1886. pisze w tych słowach:

„A stało się z obietnicą... czego ja się spodziewałem, nie ma nic... Ale i mogę i muszę czekać aż do końca kwietnia spokojnie, nie targając więzów, które mnie przykuwają. W kwietniu podam świadectwo doktorów (niemców), co do niemożności powrotu. Zobaczymy, co z tego wyniknie. Ach, mój drogi panie Władysławie, gdyby choć parę dni mieć spokoju i folgi w cierpieniu. Od sześciu nocy śpię siedzący. Myśl o Bohdanie...*) przejęła mnie bolem okropnym, o! — te dole nasze — te dole nasze! Szczęściem jest pobożnym Bohdan.“

Wówczas właśnie przyjechał do San Remo synowiec Kraszewskiego, Bogusław, aby pielęgnować stryja, co było dla chorego wielką ulgą.

„Nie wiem — pisze mi d. 12. stycznia — czy Bogusław zebrał się na odpowiedź, ale ja spieszę wam podziękować za troskliwość o mnie... Ściga mnie pra-

wie śmieszny jakiś fatalizm. Dziesięć dni temu, d. 2. stycznia, pięknego, pogodnego poranka wyjechaliśmy z p. Naimskim, na przejażdżkę w góry. Dojechawszy do miejsca, w którym szeroki kończy się gościniec, kazaliśmy zawrócić, a woźnica zamiast tego — wyrzucił nas i tak skutecznie, że ja padłem całym ciałem ciężarem na głowę o kamień! Oprócz tego dostało się kolanom. Ale katastrofa mogła być daleko straszniejsza, gdyż uderzenie było nadzwyczaj silne. Oprócz bólu głowy i zdartej skóry, nie było nic... W tydzień potem zdrzemałem się w fotelu, straciłem równowagę i spadłem znowu głową na ziemię, potłukłszy się gorzej, niż pierwszym razem. Wszystko to nie pomogło zdrowiu, a że czas tak ciągle zły obecnie, więc mocno jestem cierpiący. Oprócz tego mnóstwo niedogodności i kłopotów. Miasteczko małe, obrachowane tylko na cudzoziemców, mnóstwa rzeczy dostać nie można. Amnystyi ogólnej, jak wiecie, cesarz nie dał... Ja, specjalnej dla siebie, nie mogę się spodziewać; dla uratowania więc kaucyi nie pozostaje nic innego, jak, gdy nadejdzie termin do powrotu, składać się świadectwami doktorów, że jechać nie mogę i prosić o prolongatę. Jeżeli ją cesarz da, będzie się tak wlekło nieznośne prowizoryum, jeżeli odmówi, kaucję skonfiskują i koniec. W tej niepewności muszę pozostać, niestety, nie wiem, jak długo. Położenie więc moje, wyjąwszy tego, że nie patrzę na pikelhauby i nie słyszę ryglowanych drzwi i muzyki wojskowej, mało się polepszyło. Bądź cobądź jednak lepsze San Remo, niż Magdeburg.“

Cały r. 1886-ty był pasowaniem się z nieubłaganą chorobą. Umysł zachowywał tę samą trzeźwość, serce nie przestawało interesować się wszystkim, co polskie. „Jestem tak osłabiony — donosi mi d. 28. stycznia t. r. — że mi pisać trudno. Oprócz tego pora, jak na sławną Rivierę okropna! Burza, wichur, śnieg, deszcz, zimno. Ja od dawna już nie śpiam, a jem tak, jak nic i chodzę, jak cień! Przykre, bolesne na mnie zrobił wrażenie telegram o Czajkowskim. *) Miał więc jeszcze w sobie uczucie i to go do takiego końca przyprowadziło! Okropnie myśleć o nim nawet.“

D. 3. lutego odwiedził Kraszewskiego znany przyjaciel Polski, Attilio Begéy.

„A teraz — woła Kraszewski, — choć raz wiadomość, która może się wam na co przyda! Poznałem tu, bo przybył do mnie, p. Attilia Begey'a, włocho, który nauczył się po polsku. Arcy-sympatyczny człowiek, ale był dla mnie ze swoją polszczyzną i miłością dla nas, aż do nauczania się języka posuniętą, zagadką. Rozwiała się ona, gdym się w nim domacał towiańczyka! Otóż od niego mam pożyczone dwa zeszyty drukowane po francusku i po polsku. Są to dzieła urywkowe mistrza Towiańskiego. Przebiegłszy je, zatrzymałem w tej myśli, że ty ich może nie znasz? Z mową Bismarka i usposobieniem dla nas, wogóle znikają moje nadzieje

*) Zaleskim.

*) Michał Czajkowski odebrał sobie życie w Borkach, majątku swoim w gubernii czernichowskiej d. 18. stycznia r. 1886.

uratowania kaucyi, chociaż będę się przedstawiał, świadectwami doktorów poparty, jako nie mogący a nie niechający powracać, ale podobne zabiegi próżne. A powrócić na lat dwa, choćby nawet na pół roku, — to dość, aby mnie zabić. I tak ledwie się poruszam.“

Kraszewski przesadzał nawet niebezpieczeństwo swojego położenia i badał, czy to lub owo państwo w razie nalegań Bismarka nie wydałoby go prusakom.

„Mało co mi jest lepiej — pisał d. 17. marca t. r., — ale kłopotów nie ubyło. Ponieważ coraz się uwydatnia, że kaucyę potrzeba będzie stracić i gdzieś szukać opieki i przytułku, z tego powodu musiałem się upewnić, czy extradycja jest możliwą. Okazuje się, że Włochy traktatem nie są do niej obowiązane, co do przestępców politycznych. We Francyi powiedziano mi, jakby z przekąsem: „Będzie pan u nas jeszcze mniej pewny, jak we Włoszech!“ Włochy jednak zaręczają, że nie wydadzą. Prosiłem, aby dowiedzieć się o to urzędowo w Szwajcaryi. Będę więc wkrótce miał materiały do zdecydowania się, gdzie mam pozostać, bo gdzieś muszę osiedlić się stale. San Remo jest niemożliwe. Na pobyt zimowy kąt cichy — do zamieszkania za smutny. Potrzebuję wielkiego miasta, w którym, nie biorąc udziału w życiu, możnaby czuć się w jego ośrodku. Będzie to może Rzym, jeśli pozwoła mi środki materialne. Moja prośba o prolongatę lub ułaskawienie pójdzie w końcu kwietnia. Kiedy się to rozwiąże, nie wiem, ani jak? Powrót do Magdeburga z mojem zdrowiem jest zupełnem niepodobieństwem.“

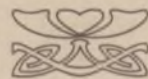
D. 31. marca daje mi Kraszewski drobne sprawunki: „Zaczynam ten list ze wstrętem, bo — powiada — jestem zmuszony w chwili, gdy myśl moja towarzyszy wam u łóża konającego Bohdana, zajmować się fraszką, przychodzącą jak ironia życia właśnie w tej godzinie, aby urągać się boleści.“ Opisuje dalej różne braki małej miejsciny włoskiej i tak kończy: „Powietrze, które ma wynagrodzić za te wszystkie trybulacye jest tak zmienne, że zimę przepędzoną w Hyères przypominam sobie z utęsknieniem. Prawda, że tę zimę zowią tu „wyjątkową“, ale p. Tripplin utrzymuje, że nie wie ile zim przebyła we Włoszech, a ani jednej, którąby „wyjątkową“ nie była. Ktoś miał może słuszość mówiąc, że Włochy są — błagą. Wprawdzie pomiędzy 17. stopniami mrozu w Warszawie a 13. ciepła w San Remo jest więcej niż błaga, ale nie mniej w pokojach bez ognia obejść się nie można.“

Bohdan Zaleski umarł d. 30. marca r. 1886. Kraszewski pisał d. 15 kwietnia: „Bohdan nie schodzi mi z myśli. Piszesz, że synowie zbierają listy. Nie wiele ich na świecie. Nieboszczyk należał do tych ludzi, którzy słowem, ani mówionem, ani pisanem nie szafowali, a przywiązywali do niego wagę wielką. Trochę listów krótkich znajdzie się z powodu edycji poezyi, którą się zajmowałem sztychując do nich okładkę. Na odszukanie ich trzeba poczekać, bo po oddaniu papierów, zabranych z Berlina, jeszcze ich nie widział. Bóg wie, czy mi ich nie pokradli? Będę szukał. Ciągłe mi

starzec z długą brodą siwą stoi w oczach. Co za jasne życie, czyste i jaka śmierć męczeńska i spokojna!“

(D. n.).

Władysław Mickiewicz.



† Wincenty Chościak Popiel.

Warszawa d. 9. grudnia r. 1912.

Biją żałobnie dzwony Archidiecezyi warszawskiej. Najstarszy biskup polski poszedł na sąd Pana, któremu służył długo, wiernie, a ofiarnie.

Zgaśł arcypasterz nasz, Wincenty Chościak Popiel, zgaśł jak lampa po wypaleniu oliwy do ostatniej kropli...

Wnuk kasztelański, syn pośła, Konstantego i Zofii z hr. Badenich, urodzony w r. 1825., w Czaplach wielkich, w miechowskiem, gdzie Popielów dawne gniazdo, zrazu prawnik, później krótko agronom, uczuwa powołanie do stanu duchownego i wstępuje do seminaryum w pobliskich Kielcach. Kończy je w r. 1849. ze święceniem kapłańskim. Teraz udaje się do Rzymu dla pogłębienia studyów i tu uzyskuje doktorat teologii. Czas jakiś zasiada w stallach kanonickich na Wawelu, to znów w Kielcach pełni obowiązki regensa seminaryum i profesora. Później piastuje doniosły urząd rektora Akademii duchownej warszawskiej, który wynosi go w r. 1863. na stolec biskupi w Płocku.

Tutaj nieugięty wchodzi w konflikt z władzami, jako że wzbrania się uznać legalności utworzonego przez rząd, bez aprobaty Watykanu, kolegium duchownego. Skazany na wygnanie, śladem wielu innych biskupów polskich, spędza długich lat sześć w Nowogrodzie. Wraca do kraju w r. 1875., dzierży pastorał dyecezyi kujawsko-kaliskiej, jej zasłużony renowator, wreszcie w r. 1883. zostaje metropolitą warszawskim.

Powitany przez osieroconych warszawian z radością i zapalem, cieszy się długo w stolicy Polski czcią i posłuchem. W latach dalszych, ucisku, coraz to nowych, a śmielszych wymagań i ograniczeń, wreszcie burz i klęsk społecznych poddawano działalność pasterza częściej, a surowej krytyce. Sądzone go przecie jakby w zaoczności, nie pytając, co mógłby przywieść na rzecz swoją... A on, wśród pasma udręki, strapień, prześladowań, usiłuje tylko utrzymać łódź pasterską na powierzchni, iżby jej nie zatopiono, jak to tylokrotnie bywało z najwyższą szkodą dla Kościoła, wiernych i kapłanów. Wszak mógł wystawić się, co już raz mężnie uczynił... lecz cóżby wówczas działo się — mniemał — z rozbitą owczarnią, z rozpraszaćcami się owieczkami? Trwa więc z zaparciem się, poświęceniem na twardym tyle posterunku, odpiera ciosy w milczeniu, zapoznawany, przyjmujący z poddaniem krzyż za krzyżem nawet z rąk współbraci...

Jeśli zaś mylił się sędziwy starzec — to w najlepszym swoim zrozumieniu, i w dobrej zawsze wierze, bo nikt i nigdy nie zdoła udowodnić, że sprzeniewierzał się Popiel Kościołowi, polskości, powadze i urzędowi swojemu tak odpowiedzialnemu! Doba była iście tragiczna i on też w niej przebywał tragedję. Wiele jego kroków, bądź niezrozumianych, bądź też wprost potępionych wyjaśni przyszłość, wytłómaczą może już dni najbliższe... Piszącemu te słowa wiadomo, że ukażą się wielkiej wagi dokumenta, które poświadczą, jakim był polakiem, kapłanem, pasterzem, od czego nas uchronił, czemu zapobiegał, co powstrzymał nawet drżącą już od zgrzybiałości dłońią, męczennik na biskupim tronie...



WINCENTY CHOŚCIAK POPIEL.

On to czuł dobrze, on, który wszak autorem był „Żywota P. Jezusa“, napisanego w odpowiedzi Renanowi. On, który i wiernych swoich i podwładnych zawsze z najwyższą tylko traktował miłością. Jak-że to postępował z tymi ostatnimi?

Kiedy młody, niedoświadczony kapłan dopuścił się wykroczenia, zwykły biskup zapraszał go do siebie na wieczerzę, spożywał ją z nim na osobności, w głęboku milczeniu, a potem żegnał ojcowskim pocałunkiem i słowy:

— Zdaje mi się, że to ostatnia w życiu przykra wieczerza, jaką spędziliśmy razem...

Lub znowu do recydywisty:

— Mój drogi! Coś uczynił? Oto wprowadziłeś mnie w położenie, że cię więcej kochać nie mogę!

On — dalej... miałby lękać się kiedykolwiek? Wszakże to było w Płocku i całemu Płockowi dobrze wiadomo, że kiedy wysłaniec rządu domagał się od niego kategorycznego oświadczenia w sprawie uznania petersburskiego kolegium i dał Popielowi kwadrans czasu do namysłu, ten wyszedł do sąsiedniego pokoju

i wróciwszy stamtąd z brewiarzem w jednej ręce, a podróżną torbą w drugiej, rzekł:

— Oto moja odpowiedź!

— Jakto, Ekscelencyo?

— Pewnie pojedziemy na wygnanie... jestem gotów...

— Tak jest... skoro Ekscelencya tego sobie życzy...

— Dokąd?

— Do Nowgorodu!

— Bywali tam nasi, i ja pójdę w imię Boże!

Należy o tem pamiętać, należy to chyba uznać i uczcić, kiedy mówić się będzie o zmarłym w Bogu arcypasterzu warszawskim...

Varsoviensis.



Stanisław Trembecki.

W setną rocznicę zgonu przypomnienie.

Dźwiganie się do życia, do pracy nad sobą, jakie spostrzegamy w Polsce w wieku XVIII., nie znajdując dość mocnego podłoża w samoistności twórczej narodu, siłą rzeczy oprzeć się musiało na elementach zachodniej, francuskiej kultury, które to elementy, zwłaszcza w dziedzinie literacko-estetycznej, zajęły miejsce niepodzielne.

Jedynym kryterium prawdziwej poezji stała się miara wierszowa, — wobec niej zaś istotny czynnik wszelkiej artystycznej, a więc i poetyckiej twórczości: natchnienie, zejść musiało na plan podrzędny.

Połowiczny, kłamiwy klasycyzm Francji ówczesnej, znalazł w Polsce żywe przyjęcie. Przeto zaroiło się u nas od naśladowczych rodzajów jak ody, listy, epigramaty. W nich to wypowiadały się myśli autorów, nacechowane dążnościami pouczającemi, bądź bezpośrednio, bądź też w szacie ulubionej alegoryi.

Przyjdzie później z natchnioną pieśnią Mickiewicza chwila grzmiącej wypowiedzi duszy narodowej, wszakże przed zorzą romantyzmu panować będzie jeszcze charakterystyczna epoka tej poezji, której jednym z największych wyobraźni — Stanisław Trembecki.

Urodzony około r. 1735., odebrał rudymenta nauki w kraju, prawdopodobnie w jednej ze szkół Pijarów, a wyższe studia w Akademii krakowskiej. Jednakowoż na ogłade jego towarzyską, na urobienie smaku w miarowości wiersza, oraz predylekcyi do mecenasowstwa w twórczości literackiej — wpłynął najbardziej pobyt w Paryżu z atmosferą tamiecznych salonów. W ślad za chęcią takiego życia poszło i rozmiłowanie się w literaturze francuskiej, na gruncie której poruszano się ówczesnie jak na błyszczą-

cych parkietach. Trembecki jął się skwapliwie poznania tego piśmiennictwa, a szczególnie dzieł przodujących w niem autorów, sam mając odpowiednie ku temu przygotowanie, oparte choćby na niezaprzeczonem przetrwaniu klasycyzmu, jakoteż owładnięciu staropolszczyzny i jej pomników.

Tu możemy śmiało polegać na sądzie Chmielewskiego, że Trembecki, wchodząc w salony paryskie, miał już gruntowną znajomość literatury polskiej, jej złotej doby. Styl Kochanowskich i Skargi dźwięczy w jego utworach zasadniczo, i z pewnością przyswoić go sobie musiał poeta w chwilach niezamąconych jeszcze uciechami towarzyskiego życia. Nie miał bowiem wprost czasu, a może i sposobności do lektury swojskich autorów, z chwilą, gdy francuszczyzna stała się dlań powszednim chlebem, gdy bytowanie wśród sfer dystygowanych uderzyło nań oceanem wrażeń.

Na dworze Ludwika XV. uchodził za lwa salonowego. Zwracał na się uwagę mnóstwem pojedynków i przygód kawalerskich. Z ówczesnymi literatami, co znakomitszymi, w zażyłej pozostawał przyjaźni. Kulturę swoją umysłową rozszerzał czytaniem w zakresie estetyki i filozofii, impresją ze sztuk scenicznych, jako stały domu Moliere bywalec. We Francyi jeszcze zbliżył się ze Stanisławem Poniatowskim, późniejszym monarchą i mecenasem i odtąd nieodłącznymi pozostali obaj, wzajemnie na siebie oddziaływając.

Z powrotem do Polski stał się Trembecki jednym z najwybitniejszych rymotwórców czasów *regime'u* Stanisława Augusta. Jako szambelan królewski, począł układać wiersze, w rym i rytm obejmować aktualne okoliczności, a przede wszystkim oddawać cześć wybitnym osobistościom, z którymi zostawał w przyjaznych stosunkach, a których zasługi oceniał zawsze z rącością. Taka to już była właściwość poezyi tych czasów, właściwość wypływająca z otoczenia, z nastroju powszechnego w społeczeństwie, że tak na życie, jak i na poezję patrzano nie pod kątem wieczności, ale ze stanowiska chwili. Dopiero natchniony, a szczerze religijny Woronicz stan ten odmieni na lepszy.

Trembecki, stały jeszcze uczestnik „obiadów czwartkowych“, na których w obecności króla-mecenas roztrząsano kwestye literackiej natury, hołdował zapamiętałe pierwowzorom francuskim. W lafontainowskich to *fables* ach szukał wzorów i motywów do swoich dwunastu bajek, o formie tak śmiałej a barwnej, o założeniu i przeprowadzeniu tak logicznem, że niemi wyprzedził daleko nawet Krasickiego. Precyzją formy i dramatycznym silnie wątkiem bajki takiej: jak „Myszka, kot i kogut“ zachwycił się Mickiewicz, a zdaniem Chmielewskiego jest to najświetniejszy w tym rodzaju utwór w piśmiennictwie polskim. Wspólną zaś zaletą wszystkich tych rzeczy i obrazowość i prostota wypowiedzenia, która stawia je na wyżynie arcydzieł.

Obok bajek uprawiał Trembecki rodzaj listów poetyckich, ód, satyr i poematów opisowych; próbował też sił swoich i w zakresie teatru, ale w puściznie pozostawił tylko wzorowe przekłady dwóch niezbyt trafnie obranych dramatów francuskich.



Objaw znów zdumiewający, jak poeta nie doceniał wartości swoich utworów, jak pod niemi kładł nazwiska: Azaryczów, Marewiczów, czy Bielawskich, jak w czambuł potępiał swe rymy, inne wynosząc pod niebo! Stąd dla wydawców kłopot nastręczał się niemały przy wyróżnianiu własnych utworów Trembeckiego od innych, mniej lub więcej znanych autorów. Oto n. p. znajdujemy w zbiorze pism Węgierskiego wiersz poświęcony Trembeckiemu, podczas gdy sanockie wydanie poezyi Trembeckiego z r. 1858. mieści tenże sam wiersz z nagłówkiem: „Do biskupa Naruszewicza“. A są i inne strofy, mimo podobieństwo formy trudne do sklasyfikowania wedle autorskiej przynależności.

Nie dotyczy przecie ta niepewność ód, listów, satyr i poematów opisowych, które trwałemi już zgłoskami zapisały pamięć Stanisława Trembeckiego na kartach literatury ojczystej.

(D. n.).

Teofil Szczerba.



Przegląd prasy.

Pod nagłówkiem „Kościół, postęp i wiedza“ mówi *Głos narodu* co następuje:

„W oczach wrogów Kościoła katolickiego jest on „gascielem światła“, „przeciwnikiem postępu“...

Bajka, jakoby na którymś z synodów rozprawiano o tem, czy kobieta ma duszę — przytaczana bywa na odczytach *quasi* naukowych, jako argument nie podlegający żadnej już krytyce.

Dla wiadomości tych osób dobrze jest przypomnieć, że najpierwsze uniwersytety w Padwie, Bolonii, Salerno, powstały w XII. i XIII. wieku za staraniem papieży i już w XIV. stuleciu ujrano... kobietę na katedrze profesorskiej! Była nią Novella Andrea, córka uczonego, przez niego wykształcona, która nieraz zastępowała go w wykładach. Miała być tak niezwykle piękną, że aby słuchaczom oszczędzić roztargnienia, musiała mówić z poza zasłony.

Zasługuje też na uwagę Katarzyna Laura Bassi, która w r. 1732. złożyła chlubnie egzamin z filozofii w uniwersytecie bolońskim i tamże mianowana profesorem. Zaślubiwszy dra Verani, nie opuściła swego stanowiska, ale i domowe obowiązki spełniała wzorowo. Po jej śmierci miasto i uniwersytet wzięły na siebie urządzenie pogrzebu i wzniesienie pomnika.

Również sławną stała się Marya Kajetana Agnesi, medyolanka (1718—1799). Po ukończeniu uniwersytetu bolońskiego, wezwana została przez papieża Benedykta XIV. na profesora tegoż uniwersytetu. Dzieło jej *»Instituzioni analitiche«* otrzymało chlubne odznaczenie Akademii paryskiej. Gdy dla podeszłego wieku opuszczała uniwersytet i wróciła do Mediolanu, arcybiskup tameczny powierzył jej kierownictwo nowo założonego szpitala dla starców, którym niosła pomoc lekarską i moralną. Marya Agnesi odznaczała się przez całe życie serdeczną pobożnością.

Wreszcie wymienić wypadnie kobietę-profesora, Maryę Dalle Donne, doktora medycyny i chirurgii.

Cóż na to powiedzą nasze zaciętrzewione »sufrażystki« i sekundujący im z pod skrajnie liberalnych znaków galopeni?

Warszawa liczy obecnie dwadzieścia i cztery sceny. Przedstawienia teatralne odbywają się w rzeczywistości stale tylko na ośmiu scenach. Reszta oddawana jest dla zespołów amatorskich, lub też zaśmieconą została przez t. z. kabarety.

Za miesiąc wszakże przybędzie stolicy »teatr polski«, przeważnie dramatowi poświęcony. Ma to być poważna placówka polskiej kultury dramatycznej. Równocześnie zaś powstaje, jak donosi *Kuryer warszawski*... »teatr nowoczesny« lub inaczej »miniaturą« zwany.

Co to?

»Zdaje się, że matką »miniatur« jest »zarzueta« hiszpańska, czyli teatryki, w których grywa się krótkie utwory dramatyczne, biorąc zapłatę za każdy »numer« oddzielnie. W ten sposób w ciągu wieczoru ukazuje się na scenie kilka sztuk teatralnych, dla coraz innej publiczności. A więc w godzinach od 7—11½ powtarza się trzykrotnie ten sam program, zwyczajnie z trzech rodzajów sztuki dramatycznej, jako że całe widowisko trwa 1½ godziny.

A zatem typ sceny odpowiadającej epoce, której cechą charakterystyczny brak czasu i nerwowa ruchliwość. *Menu* złożone z arcykrótkich: operetki, dramaciku, sceny solowej, pantominy lub numeru tanecznego — oto, co ma być wielce pojętnem i co... stworzyć dziś może jedyną konkurencyjną kinematografom!

Do Warszawy szły teatryki te z Hiszpanii, *via* Petersburg i Moskwa, w których to ostatnich miastach cieszą się szczególnem powodzeniem. Zachęceni tem »polacy nadnawscy« budują już dla »miniatur« gmach obok Filharmonii. Małuczko, a mieć je będzie Warszawa niezawodnie w większej liczbie.

Czy spełnią się nadzieje »nowatorów«.

W zasadzie nie można przeciwieć się tej artystycznej

rywalizacji z »kinami«. Jest to niewątpliwie reforma w kierunku demokratyzacji sztuki teatralnej. Idzie tylko o to, aby nie popsuto dobrej myśli, nie znizono się do poziomych gustów pospółstwa, lecz pamiętano o tem, że teatr powinien być nie tylko rozrywką, lecz i szkołą dla szerokiej publiczności.

Należałoby także liczyć się z indywidualnością narodową, z odrębnymi naszymi dążeniami i gustami i z moralnem też poczuciem, tak sponiewieranem przez cudzoziemskie, wprost zbrodnicze »kina«...

Poznańskie, wstrząśnięte »wywłaszczeniami«, nie myśli podobno bawić się w tym karnawale. Tak postanowić miano w kołach młodzieży. Tego też zdania jest i obywatelstwo wiejskie, dające zazwyczaj ton balom publicznym!

»Nasze zakłady dobroczynne — pisze jeden z dzienników — zamiast dochodu z karnawałowych wieczorów otrzymują zasiłek w innej drodze, młodzi jeśli chcą, niech potańczą w domu. Idzie tylko o to, aby owej abstynencji od bałów, tak zresztą w tej chwili zrozumiałej, nie pojmować jako momentu historycznego, lub wyrazu opinii przeciw niemcom, gdyż ten rodzaj manifestacji byłby im najzupełniej obojętny. Wreszcie należałoby ku temu uzyskać aprobatę całego społeczeństwa«.

Na takąż manifestację zanosi się podobno w roku przyszłym i w Warszawie.

Na wiecu kobiet polskich w Urbanowie rozrzucano, jak donosi *Dziennik poznański*, następujący »spis przykazań i grzechów narodowych«:

- 1) Ojczyznę kochaj gorąco, szanuj jej przeszłość i wierz w przyszłość.
- 2) Czcij naszych wieszczów, bohaterów i męczenników, pamiątkę ich obchodź jako święta narodowe.
- 3) Znaj historię narodu swojego, abyś mógł skutecznie bronić go przed potwarzą obcych.
- 4) Przestrzegaj moralności i religijnego wychowania — ucz dzieci pacierza i religii w języku ojczystym.
- 5) Mów poprawnie po polsku i zważaj na czystość języka polskiego, czytaj dobre książki polskie, pielęgnuj pieśń polską, obyczaj polski i staraj się dla dzieci o gry i zabawy polskie.
- 6) Wychowanie dzieci oprzej na wyrabianiu w nich siły woli, hartu duszy i ciała.
- 7) Popieraj wszystko co swojskie, rodzime, choćby przyszło ponieść trud lub ofiarę materyjalną.
- 8) Bierz czynny udział w pracach społecznych i wypełniaj sumiennie obowiązki na się przyjęte.
- 9) Majątek swój i oszczędności umieszczaj tylko w przedsiębiorstwach polskich — bądź oszczędny dla siebie i dawaj chętnie i stale na cele narodowe.
- 10) Pamiętaj, że kobieta jest wychowawczynią narodu — twórczynią myśli polskiej i ducha polskiego.

Grzech narodowy popełniasz, jeżeli:

- 1) cudzy obyczaj i cudzy język wprowadzasz do domu swojego;
- 2) zapierasz się imienia prawego polaka i nie strzeżesz polskiego honoru zawsze i wszędzie;
- 3) zabijasz w dzieciach ducha narodowego przez obce wychowanie;
- 4) okradasz z dorobku własne społeczeństwo, nie przestrzegając bezwzględnie hasła »swój do swego«;
- 5) kupujesz w obcych składach, leczysz się u obcych lekarzy, szukasz porady u obcych adwokatów, powierzasz prace obcym przedsiębiorcom, rzemieślnikom, robotnikom, trzymasz obcą służbę, posługujesz się obcymi pośrednikami;

6) kupujesz na kredyt i robisz długi z świadomością, że ich nie zapłacisz;

7) powiększasz dorobek swój niegodziwymi środkami, szukasz pomocy i zysku w obcych i wrogich zakładach, bankach i towarzystwach.

»Przykazania« te należałoby upowszechnić we wszystkich dzielnicach naszej Rzeczypospolitej!



Po wystawie kobiety polskiej w Pradze.

Kto w ostatnich dniach czerwca przechadzał się po wspaniałych apartamentach »Ubecnego domu« w Złotej Pradze i zwiedzał tam, sala za salą, niezwykle zajmującą, poważną i świetną w wielu działach Wystawę prac kobiety polskiej... mógłby mniemać słusznie, iż rzecz zdawna i celowo była planowana, że rozwijała się w błogiej harmonii i pokoju, i że niewiastom naszym, acz oddzielonym kordonami, na imię: solidarność, niezachwiana niczem łączność w raz powziętej, narodowego znaczenia sprawie!

Chcimy też podkreślić ten pełen pokrzepienia efekt zewnętrzny i nie przypominajmy już tutaj mglistej genezy Wystawy; opóźnionych, nie z winy lwowskiej, przygotowań; wahań nieustannych, prawie do ostatniej chwili; dumnych wzlotów to znowu opadów całej akcji; burz wewnętrznych w łonie trójzaborowych komitetów; piorunów, które niespodzianie, a, zda się, zewsząd biły z hukiem ogłuszającym i to przy akompaniamencie srode wezbranych potoków niewieściej wymowy... Były chwile, gdy nasz czupurny lewek nadpełtwiański omal nie rzucił się z rozpaczłą furią na lwa pobratymców, gdy tuż — tuż syrena warszawska, wiadomo: pół ryby, pół dziewczycy miała uczynić siostróbczy użytek z przydanego jej miecza. A zasię podwawelski Kraków, swoim obyczajem, udaną, czy rzeczywistą drzemką salwował się niejednokrotnie przed odpowiedzialnością.

Ale.. za kulisy wstęp surowo wzbroniony! Przedstawienie powiodło się mimo wszystko — a może właśnie dlatego?! Autorom, wykonawcom należą się powinszowania, co więcej: szczerą, gorącą, obywatelską podzięką! Więc Warszawie, Krakowowi, Wielkopolsce i naszemu »przedmurzu Rzeczypospolitej«, z krewkich najbardziej tu krewkiemu!..

Wprawdzie miejscowe malkontentki dotąd uspokoić się nie mogą i uderzają jeszcze w nutę *lamentoso*, wprawdzie warszawskie pseudo humorystyczne piśmiidła próbują wciąż nowych na stary temat konceptów — jednak rzecz powiodła się nadspodziewanie i może warto poznać, co o niej mówili obcy?

Taka Maternova, znamienita przecie poetka, daje radosny wyraz z racji zbliżenia się obu narodów i śpiewa pean ku czci polskiej kobiety.

Taka Kuneticka, niedoszły poseł w spódnicy, arcykwiat feminizmu czeskiego, wyraża podziw, szacunek i miłość dla »przedstawiciela tego narodu, od którego zawisła przyszłość idei słowiańskiej«...

Już rozlega się u brzegów Wełtawy śpiew »Naše barvy«:

Nad Złotą Pragę sztandar powiewa,
Nasze to barwy: białe, czerwone...

A mniej nam zwykle rade *Narodni Listy* stwierdziwszy, że poprzednie wystawy (serbska i bułgarska)

podrzednego były znaczenia, wołają: »Jakże wybitne miejsce zajmuje kobieta polska, mieszczańska lub szlachecka, w boju o prawa narodowe, czy bój ten toczy się na własnej ziemi, czy poza nią, w koloniach polskich. Patrzcie tam na rodziny! Pomimo najgorszych nieraz warunków dziecko umie po polsku czuć, mówić i pisać, a zawsze matki to zasługą. Toż w rodzinie polskiej nie zginie nigdy świadomość narodowa, dopóki istnieć w niej będzie polka! Jej wpływ na stosunki kulturalne, publiczne i narodowe, coraz to więcej widoczny, jej działalność przenika całe życie Polski. A na Wystawie praskiej wspaniałych dowodów tego podostatkiem«.

W *Złatej Pra-*

ze czytamy: »O ile na poprzednich popisach przeważał moment etnograficzny, ludowy — po największej części trud kobiet prostych — tutaj stanowczo przewagę ma świat duchowy niewiasty polskiej, oraz i wszystko to, co ją okazuje i wyróżnia wśród innych słowianek, jako obywatelkę-entuzjastkę, jako żywioł przedni w sztuce, literaturze nawet nauce, w bogatej kulturze, ba! przez szlachtę narodową i w najwyższych kołach arystokratycznych i dworskich. Jakżeż tu wiele nauczyć się można!«

Przeto chyba nie stracony był ów znój kilku miesięcy, skoro skronie kobiety polskiej zdobią takimi wienkami wszechstronnej zasługi... Wszystkie, podnoszone skwapliwie przez... swojskich krytyków, braki, nie zdołały przecie, jak widzimy, zaciemnić tam obrazu polki — matki, działaczki, obywatelki, bohaterki i męczennicy. To zaś na *forum* praskim uprzytomnić należało i tak też stało się fortunnie. Czytajcie zresztą londyńskie *Times*, rzymską *Tribunę*, francuskie, a nawet niemieckie dzienniki!

Prasa zaborów rosyjskiego i niemieckiego wystąpiła z wielce szczegółowymi sprawozdaniami, zaznaczając ofiarną działalność pań komitetowych z swoich dzielnic. Niechżeż i nam tu wolno będzie oddać sprawiedliwość lwowskim współpracownikom. Przedewszystkiem zaś: przewodniczącej, p. Kazmierze Neumannowej i sekretarce jeneralnej, p. Maryi Magdównie.

Więc p. prezydentowa Neumannowa dała dowód niepospolitego hartu i siły w przeprowadzeniu sprawy w jej różnych, a tak trudnych kolejach. Ona to beznamietną cierpliwością usunęła szczęśliwie niezliczone mnóstwo przeszkód, potrafiła przewalczyć zdania i opinie, wychodzące z odmiennych założeń, podyktowane bez wątpienia najszczerzszym nieraz uczuciem... wszakże stojące przedsięwzięciu na zawadzie. Ona w końcu zajęła się najskuteczniej i uzyskaniem funduszków, których każda wystawa pochłania tysiącami!

Prawą jej ręką była p. Magdówna, jako sekretarka — dusza komitetu Zaprawiona do działań w ruchliwej tyle Sodalicyi nauczycielskiej i innych naszych organizacjach, uporała się z nowym, niełatwym przecie



KAŻMIERA NEUMANNOWA
przewodnicząca komitetu Wystawy.

zadaniem. I nie straciła też spokoju, gdy pytanie: obesać, czy zostać w domu? — brzmiało coraz drażliwiej, gdy nastrój czynił się niemal bojowy, a czas uchodził wichrem! P. Magdówna troszczyła się dalej jak nikt drugi o całość eksponatów. Udała się wreszcie na miejsce, asystując przy kilkakrotnych ekspedycjach, przykładając własnej dłoni. To też z wszystkich znanych nam wystaw, ta zwróciła okazy w wzorowym porządku.



MARYA MAGDÓWNA
sekretarka komitetu Wystawy.

Z chwilą, gdy szeregi powołanych z pod różnych chorągwi pań komitetywych dla pewnych racji uszczuplać się poczęły — Związek polski niewiast katolickich trwał przy pierwotnem postanowieniu i wspierał dzielnie wszczętą robotę; z tego również źródła, jak i od Anny hr. Wolańskiej, przewodniczącej sekcji historycznej, popłynęły pierwsze, a hojne na cele komitetu datki.

P. Helena Dąbczańska nie wahała się dla dobra imprezy powierzyć Pradze swoich precennych antyków, na Wawel przeznaczonych. Część ich tworzyła *clou* Wystawy. Koszt zaaranżowania ich pokryła właścicielka z własnej szkatuły.

W prezydium sekcji literacko-naukowej stały Zofia i Irena Mrozowickie. O dziale tym rzekły krótko *Narodni Listy*: »Już dla niego samego warto zwiedzić Wystawę!« Tu rzetelną oddała usługę publikacya pióra czcigodnej Antoniny Machczyńskiej »Kobieta polska w jej pochodzie dziejowym«, — rzecz pozornie okolicznościowa, niemniej trwalszą mającą wartość, pełna i wiedzy i szlachetnego sentymentu, dla obcych wyborny przewodnik.

Koroną wszakże literatury: »Bibliografia piśmiennictwa kobiety polskiej«, praca dokonana przez p. Maryę Bruchnańską i grono słuchaczek Uniwersytetu lwowskiego z dr. Maryą Kadyjówną na czele. Jest to 17 pudeł katalogowych, zawierających przeszło 7.000 kart z tytułami dzieł niewieścich. *Unicum* to wywoływało wprost podziw zwiedzających, nakazując im osobliwą estymę dla działalności literackiej kobiet naszych. Zauważyć przychodzi, że p. Bruchnańska (zarazem autorka słowa wstępnego) nie miała więcej nad parę tygodni czasu, popisując się tu nie tylko benedyktyńską pilnością, ale i znawstwem przedmiotu prawdziwym. Po stosownem uzupełnieniu należy »Bibliografię« tę wydać co najrychlej ku pożytkowi nauki, a chlubić niewieściej!

Zapiszmy jeszcze dwa nazwiska: pań Anny Lewickiej i Anieli Aleksandrowiczówny, którym przypadła dwukrotnie skomplikowana, wymagająca szczególnego taktu i zręczności, misja dyplomatyczna w stolicach Polski, spełniona przez nie *arte*.

Służyli wreszcie paniom pomocą — liczni panowie, niosący tu swoje doświadczenie i trud wyteżony.

Komitet ukończył wszystkie swoje czynności i już miał zamknąć archiwum, gdy doszło go charakterystyczne pismo »Ustředního Spolka Žen Českých«.

Zaczynają one od pozdrowienia przyznając, iż »kochały się w świetnem dziele siostry, polki, — w dziele, budzącem sprawiedliwy podziw i cześć najwyższą dla

kobiety polskiej«. Akcentują dalej silnie znaczenie moralne Wystawy, »która jest niezaprzeczenie zwycięstwem — waszem i naszym w warunkach ciężkich i nie



„UBECNI DOM“ W PRADZE, w którym odbywała się wystawa.

dość sposobnych dla ręki i woli kobiecej«. A wreszcie: »niesiemy wam raz jeszcze dzięki i uwielbienie, drogie siostry, wam natchnionym i ofiarnością swoją jaśniejącym działaczkom!«

Pismo to, przepełnione niewątpliwą szczerością, niechajby zachował komitet jako wcale odmienne od mnogich »krajowych« enuncyacji, pełnych żółci i goryczy...

Mieczysław Sosnowski.



Teatr.

(»Różyczka«, komedia w trzech aktach Gustawa Armanda de Caillavet'a i Roberta de Flersa).

(»Jeniec Napoleona«, sztuka historyczna w trzech aktach Stanisława Kozłowskiego).

Istnieją dwa arcyważne względy, dla których należało bezwarunkowo poznać Lwów teatralny z »Różyczką«.

Pierwszy, że jest to sztuka... francuska; drugi, niemniej od tamtego doniosły, iż dzięki, pewnym, poruszonemu w niej sprawom, rzecz mogła być aktualną w Paryżu — przed dwoma, czy trzema laty...

Nadto wyroby firmy »Caillavet et Flers« cieszą się dziś na rynku teatralnym podobną sławą, jak w zakresie kosmetyki i perfumeryi taki Roger et Gallet, są więc bardzo poszukiwane i grubo płacone.

Zresztą wszystko byłoby w porządku, gdyby tej wcale miłej spółce paryskiej nie przyszło do głowy, po rozmaitych śmiesznych farsach, w rodzaju »Osiołków« pokusić się o... komedię w poważniejszym stylu! Dobry jest bowiem Roger et Gallet, kiedy fabrykuje »Fleurs d'amour«, ale, jako żywo, nie zdoła skomponować, dajmy na to, »niezawodnego« środka na kaszel lub reumatyzm, Sympatycznymi zdali się nam pp. Caillavet et Flers. jak długo dowodzili, że »Miłość czuwa«, wszakże niech nie puszczają się nigdy na sprawy, których rozwiązanie przewyższa znacznie ich siły, wystarczające na »dostawienie« dowcipnej krotechwili.

W ostatecznym zaś wyniku okaże się owa »Różycka« za sentymentalną, jak na farsę i za nudną, na komedię poważną, nadto płytką i niesmaczną chwilami.

Jeżeli publiczność spędziła wieczór premierowy znośnie, — całą tego zasługą znajdzie się po stronie naszych artystów, a zbytecznym byłoby powtarzać znowu, że repertuar, t. z. salonowy, był i jest specjalnością sceny lwowskiej.

Wątpię, czy jakakolwiek artystka paryska miałaby tu więcej elegancyi i wdzięku od p. Trapszowej, witanej w roli tytułowej po dłuższem niewidzeniu. To pewne jednak, że żadna nie potrafiłaby bardziej ożywić i uczynić sympatyczniejszą francuskiej tej laleczki. Podobnie i p. Żelazowski czuł się w swoim żywiole, jako zakochany »pan w pewnym wieku«. Kardynał de Merance p. Chmielowskiego stanowczo więcej chluby przyniósł artyście niż autorom.

Z biorących w przedstawieniu udział, szczególny sukces odniosła p. Dobrzańska, wprost doskonałą krea-cyą »siostry Donaty«, chociaż wszystkim niepodobna odmówić uznania.

Innych zgół francuzów i z innej epoki przedstawił nam p. Kozłowski w swoim »Jenju Napoleona«.

Dziś w literaturze napoleońskiej, sztuki teatralne, osnute na tle dziejów »wielkiego cesarza«, stanowią liczbowo poważną pozycję; nie mówiąc już o obcych, mamy naszych, polskich parę, by wspomnieć tu tylko »Panią Walewską« i »Boga Wojny« Nowaczyńskiego.

A chociażby ktokolwiek nie żywił zaufania do tego rodzaju malowideł historycznych na scenie, niemniej, jeśli jest sprawiedliwy, przyznać wszakże musi, że »Jeniec Napoleona«, nie dorównywając może na punkcie techniki głośniejszemu »Madame Sans gene« Sardou, wytrzyma przeciw wszelkie porównanie z »Piękną Marsylianką«, a już nie-skończenie wyżej stoi od przereklamowanego »Napoleona i Józefiny« Bahra.

P. Kozłowski dzieli widocznie ten ogólnopolski kult Napoleona, który mu nie pozwala mówić o »małym kapralu« inaczej, jak ze czcią szczególną, a nawet pewną dozą miłości. Umiarkowany więc kult, w połączeniu z wielką domieszką optymizmu, sprawia, że »Jenica« słu-cha się z przyjemnością, a dzięki dobrej budowie (z wyjątkiem może aktu I-go) i dzięki nader zręcznemu zawi-klaniu węzła dramatycznego, z niesłabnącem do końca zajęciem.

Artyści nasi lubią też osobliwie epokę pierwszego cesarstwa, to też premiera na scenie lwowskiej była po-niekąd grana wzorowo.

Feldman zalicza Napoleona (wyobrażał go w róż-nych »dziełach« ze sto razy), do swoich najlepszych kre-acyi. Jego świetna maska cesarza cieszy się dobrze ugruntowaną sławą. Wprawdzie Napoleon po zwycięstwie jenajskim nie mógł szczycić się tak bujnym rozrostem swej postaci, ale to już nie wina artysty.

Wiele wdzięku i szczerości miała Karolina p. Bedna-rzewskiej, jak zawsze stylową była p. Rotterowa w roli marszałkowej.

Słowa szczerej pochwały należą się p. Borkowskiej za staranność i dobre odczucie; z tem małym jednak zastrzeżeniem, że toaleta jej w akcie I-ym raziła wyjątkową wprost u tej artystki krzykliwością!

Z panów zasłużyli na oklaski: Jaworski, Hierowski, Rasiński i Miśkiewicz, który to przemiłe zagraną rolę Je-rzego Korczaka udowodnił, że jest dla sceny naszej, ubogiej w młodsze siły męskie, nabytkiem wielce pożą-danym.

W roli Henryka Langerona wolelibyśmy widzieć... nie p. Okornickiego. Sztuka pisana wierszem, przeto de-

klamacya jest tu pierwszym i nieodzownym warunkiem. P. Okornicki wskutek indywidualnych warunków wymowy nie nadaje się do tego rodzaju popisów; niedostateczne zaś opanowanie pamięciowej roli jest grzechem wołającym o ostrą karę i dłuższą pokutę!

Jerzy Koller.



Echa skargowskie.

Gimnazjum IV. (lwowskie) urządziło obchód swój w sali Sokoła II. Składając hołd wielkiemu duchowi kaznodziei sejmowego, stróżowi duszy polskiej i katolickiej, szukało gimnazjum wytycznych na dzisiejszą chwilę w zagajeniu swego dyrektora, rozważało znaczenie literackie Skargi w odczycie prof. Palucha, przenikało kolej jego życia w przemówieniu jednego z uczniów. Obraz sceniczny ks biskupa Bandurskiego zakończył ukrzepiającą uroczystość szkolną.

*

Obchód w Przemyśle był jednym z najświetniejszych. Stało się to na objawione życzenie ks. biskupa Pelczara, którego słowa znajdują tu zgół wyjątkowy posłuch. Więc mia-śto dało Rybakom nazwę ks. Skargi, tu też na gimnazjum umieszczono tablicę pamiątkową. Przy odsłonięciu jej prze-mawiali z przekonaniem poseł Tarnawski i prof. Przyjemski. Nazajutrz uroczyste nabożeństwo w katedrze. Wieczorem Aka-demia w Sokole o niezwykle podniosłym nastroju. W pro-gramie jej: »Boga Rodzica«, odczyt dyr. Kusia, deklamacya kazań (p. Kędziński), utwory wokalne i oratorium z udziałem orkiestry. Ale dusze wszystkich wziął tu bez podziału ks. biskup Pelczar, który na długo pamiętne to swoje prze-mówienie zakończył udzieleniem błogosławieństwa pasterskiego.

*

Obchód w Samborze przyszedł do skutku za staraniem tamecznego Ogniska. Inaugurowała rzecz Akademia z pięk-nem słowem wstępem dyrektora gimnazjum, Szafrana. Na-stępnie artysta teatru miejskiego we Lwowie, p. Chmieliński, odczytał jedno z kazań sejmowych, produkowało się Towarzystwo muzyczne. Pełnem temperamentu przemówieniem po-rwał słuchaczy ks. biskup Fischer, którego słowa zgłuszono patryotycznymi śpiewami. Nazajutrz nabożeństwo w kościele parafialnym.

*

Tydzień ubiegły oddały Brody pamięci Skargi. Obchody odbywały się w kościele i w cerkwi, oraz w sali Sokoła, gdzie kolejno gromadziła się młodzież gimnazjum i semina-ryum żeńskiego na poranki. Również szkoły wydziałowe i lu-dowe wzięły udział w święcie.

*

O dacie skargowskiej nie zapomniła zbożna, a patryo-tyczna Rodzina Maryi w Czerniowcach. Wychowanki pensyo-natu tych żarliwych Sióstr umyśliły wdzięczny wieczór z od-czytem, chórmi, deklamacyami (nawet z popisem gimnasty-cznym!), zakończony żywym obrazem »Polska na sądzie«. Wszystko to tętniło duchem polskim, który ożywia cały zakład.

*

Nie zapomnieli o Skardze i cichy Seret na Bukowinie. »Akademia« poważnie pomyślana, udała się nadspodziewanie. Po uroczystości wysłano telegram hołdowniczy do N. ks. ar-cybiskupa Bilczewskiego.

*

W największej sali Berlina, zwanej *Neue Welt*, świę-cono ubiegłej niedzieli uroczystość skargowską. Ponieważ po-

licya wzbronila przemówień, ograniczono się zatem do wydania odpowiednich broszur i wypowiedzenia jednego z kazań Skargi, którą to czynność spełnił z namaszczeniem p. Dybicki. Świetny podobno był zespół solistów, a potężnie brzmiały chóry »Harmonii« pod biegłą batutą lwowianina, p. Dołżyckiego. Ozwały się też dźwięki »Polonii« Wagnera, na zakończenie zaś, po raz pierwszy od dłuższego czasu, odśpiewano modlitwę polską.



Polonica.

+ Dzięki zabiegom niestrudzonej opiekunki spraw polskich w Wiedniu, Maryi ks. Lubomirskiej, poznał Wiedeń... Galicyę. Stało się to przy pomocy kinematografu w salach »Uranii«. Przed niezwykle wykwintną publicznością przesuwali się na kinematograficznym ekranie najpiękniejsze widoki galicyjskie, krajobrazy Tatr i Karpat, zdrojowiska i letniska, zagłębia nąftowe, zamki i rezydencje, Lwów, Kraków, sceny myśliwskie, grupy i pochody charakterystyczne. Filmy światowego zakładu Pathé freres wypadły nadzwyczajnie, a do pełni sukcesu przyczyniło się żywe, dosadne, często dowcipne słowo tak bystrego znawcy stosunków naszych, jak radca sekcyjny dr. Twardowski. Tak poznała stolica Austrii ów „jardin secret“, dotąd ironicznie zwany »Bärenlandem« i stosownie też do tej legendy traktowany!

+ Wacław Gąsiorowski pisze z Paryża do *Kuryera warszawskiego* co następuje: »Przed kilku dniami wyszedł tu sienkiewiczowski »Bartek zwycięzca« za dwa złote (80 hal.) i wyszedł w takiej szacie świetnej, w tak znakomitej, że wprost zazdrość bierze, iż francuzów stać na taki rozmach. Jaki druk, jakie ilustracje! Tłomaczeń »Bartka« ukazało się już kilkanaście tuzinów, zatem wydawca liczył tu nie na nowość, lecz na formę estetyczną i... na »taniosc«.

+ W listopadowym zeszycie *La Revue* pomieszczono bardzo pochlebną ocenę książki Jadwigi hr. Łubieńskiej p. t. »*Vision d' Italie. Sensations slaves*«. Autorką recenzji jest Paula Lombroso.

+ Nakładem Alcana w »Bibliotece filozofii współczesnej« wyszła praca Wincentego Lutosławskiego p. t. »*Volonté et Liberté*«.

+ Gabryel Dauchot wygłosił w Paryżu tchnącą miłością ku nam konferencję o Krasieńskim.

+ Gabryel Sarazzin, znany nasz przyjaciel, ogłosi poemat francuski p. t. »29-ty listopada r. 1830«.

+ Antoni Potocki rozpoczął w francuskich uniwersytetach ludowych szereg wykładów o Polsce.

+ Przeróbkę dramatyczną »Quo vadis«, w opracowaniu, p. Moreau, włączono do teatrów popularnych w Paryżu. Wykonywaną ona będzie kolejno tej zimy na scenach: Belleville, Monsey i Montmartre'u.

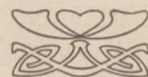
+ Na deskach wielkiej opery paryskiej występuje znów z powodzeniem p. Aleksandrowiczówna, warszawianka. Śpiewa tam również gorąco przyjmowany p. Majerski, lwowianin.

+ W Paryżu zgasała Marya Młodzianowska-Stasiakowa, żona Stefana Stasiaka, uczonego i badacza dziejów i filozofii Indyi. Śp. Marya, artystka-hafciarka, otrzymała w lecie rb. pierwszą nagrodę za wspaniałą ornat, z wyobrażeniem żywota św. Franciszka.

+ Znany poeta hiszpański, Juan Luis Estelrich ogłosił ciekawy tom szkiców literackich pt. »*Paginas Mallorquinas*«, pomiędzy którymi znajduje się też rzecz o kilkumiesięcznym pobycie Chopina na Majorce w r. 1838.

+ Ostatni koncert Paderewskiego w Queen's Hall w Londynie wywołał znowu szalony entuzjazm. Artystę naszego otacza w Anglii nimb najdoskonalszego w świecie pianisty, każde więc jego ukazanie się na estradzie nieci zachwyty, wyprowadza flegmatycznych zazwyczaj anglików z równowagi. Słowa te potwierdzi następujący, charakterystyczny wykrzyknik poważnego zresztą sprawozdawcy: »*Fortissimo*« króla fortepianu« jest jakby uderzeniem lwiej łapy po klawiaturze — *pianissimo* jako dzwonięcie skrzydeł komara« ..

+ Towarzystwo przyjaciół muzyki w Petersburgu wystąpi w grudniu z koncertem muzyki kameralnej polskiej, na którym wykonane będą: kwartet Statkowskiego, sonata skrzypcowa Szymanowskiego i wiolonczelowa Różyckiego.



Z chwili.

* Mieszkańcy t. z. Pasiek, rozległego przedmieścia lwowskiego, postanowili wnieść dla siebie kościół. Zbożny ten zamiar urzeczywistnią też wkrótce, otrzymawszy grunt pod budowę (od N. ks. arcybiskupa Bilczewskiego) i ukwestowawszy 32.000 koron. Teraz skauci dokonać mają wykopów ziemnych, zrównania terenu i t. p. robót. Właściciele cegielni okolicznych ofiarowali 80.000 sztuk cegieł, murarze złożyli darmo robociznę (od 2—4 tygodni), t. z. wózkarze jęli się bezpłatnej zwózki materiału. Słowem każdy »pasieczanin« niesie swoje ziarno do miarki, która wypełni się szczęśliwie z wiosną r. 1913.

* Pp. Konstanty i Stanisław Woynarowscy, ten drugi znany dziennikarz, ofiarowali kwotę 10.000 kor., przeznaczając odsetki z niej na utworzenie stypendyum dla sieroty po dziennikarzu, lub literacie lwowskim. Stypendyum to, pod zarządem Towarzystwa dziennikarzy polskich we Lwowie, nosić ma imię Feiksa Strzemie Woynarowskiego, brata ofiarodawców.

* P. Marya Kulikowska w Warszawie, zapisała sumę 25.000 rubli jako fundację dla piersiowo chorych, pochodzenia polskiego.

* Wspominaliśmy już na tem miejscu o składkach, płynących na fundusz Obrony narodowej w Poznańskim. Rozpoczęła je pewna polka z Kujaw, oddając ostatni swój klejnot rodzinny: brylanty. W dalszym ciągu ofiarowali: jeden z księży kujawskich tabakierkę — antyk, całą ze złota dukatowego, emaliowaną, narzeczeni z pod Raciborza swoje pierścionki zarczynowe, wdowa obrączkę ślubną, jubilerzy poznane kamienie brylantowe, oraz perły.

* W końcu z. m. otwarto w Cieszynie, na Bobrku, gdzie, jak wiadomo, istnieje seminaryum polskie, nową bursę naszą pod nazwą: »Internat dla kształcącej się młodzieży katolickiej im. błg. Melchiora Grodzickiego«.

* Za inicjatywą i staraniem Towarzystwa bł. Kunegundy w Nowym Sączu, powstała w Podegrodziu wielce praktyczna szkoła gospodyń wiejskich (dla dzieci ludu).

* Liczba t. zw. »drużyn bartoszewych« w Galicyi wynosi 104, przy 4.000 członków. W ciągu roku urządzono 97 obchodów narodowych, 70 przedstawień amatorskich i 49 zabaw. Organizacją swoją objęły »drużyny« pas powiatów wzdłuż Karpat, poczynawszy od kosowskiego i kołomyjskiego, a skończywszy na sanockim.

* Według ostatniego spisu, dokonanego, przed dwoma laty, ludność polska na Bukowinie wynosiła ogółem 36.210 dusz, z tych w Czerniowcach 14.893. Zdaje się wszakże, iż liczba ta nie jest dokładna. Powinnaby ją sprostować organizacja narodowa.

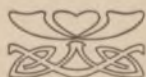
* Przy porządkowaniu biblioteki kapituły rzym. kat. we Lwowie znaleziono ciekawy rękopis. Jest to spis kapłanów dyecezyi przemyskiej, skazanych na śmierć lub na więzienie za przestępstwa polityczne w latach 1846—1852 popełnione. Na śmierć skazani byli księża: Adam Bielecki, Ludwik Gromadzki, Jan Maciejowski, Feliks Piękosz. Tych ułaskawiono, obłożeni karą więzienną, w liczbie kilkunastu, odbyli ją w kraju, czy też w fortecach czeskich.

* Słynny cykl obrazów Matejki »Dzieje cywilizacyi w Polsce«, własność hr. Potockich w Krakowie, wystawiony został tamże na widok publiczny, a to staraniem Związku artystów.

* Witold Wiwulski ukończył już dwie figury z brązu, któremi w tych dniach uzupełni swój głośny pomnik Jagiełły w Krakowie.

* P. Tadeusz Nusbaum-Hilarowicz, otrzymał na Uniwersytecie lwowskim stopień doktora prawa. P. Hilarowicz, po zdaniu wszystkich egzaminów i rygorozów z odznaczeniem, przedstawiony został ministerstwu do promocyi *sub auspiciis imperatoris*.

* W ubiegłym tygodniu święcono we Lwowie rocznicę listopadową. Z uroczystych zebrań tych wyróżnić należy dwa zwłaszcza wieczory: w Kole literacko-artystycznym i w Czytelnicy akademickiej. Na obu zabierał głos prof. Bronisław Dembiński, a przemówienia jego wywarły wręcz niepospolite wrażenie, stając się wskaźnikiem chwili. »Była to świetna mowa polityczna — pisze *Gazeta narodowa* — jakiej Lwów dawno nie słyszał! Podziwiano umiejętność ujęcia przedmiotu, cudowny język, wytworność formy, świetność wygłoszenia. Rzecz ta pozostanie klasycznym wzorem wymowy polskiej«. A *Słowo polskie* zauważa: »Prof. Dembiński wypowiedział przepiękną mowę, językiem tak wykwiśniętym, że możemy ją nazwać arcydziełem polskiego mównictwa. Malował tło, rzeźbił ludzi działających, poczem wysnuł wszystkie konsekwencje wahania, od pierwszego momentu, połowiczności, braku zgody i wiary, których nie zastąpiły porywy najbardziej bohaterskie«. Mowa ta była niejako gorącym apelem do zjednoczenia całego narodu około tej myśli, którą on raz uzna za dobrą i konieczną.



NEKROLOGIA.

† Ś. p. Marya z Miłkowskich Lebowska, kobieta głębokiej wiary, pełna tradycyjnych cnót ziemianka, opiekunka ubóstwa — w Krakowie.

† Ś. p. Adolf Vayhinger, b. poseł na Sejm krajowy i do Rady państwa, b. członek Wydziału krajowego i prezes Izby notaryalnej, jeden z pierwszych reprezentantów obozu demokratycznego — w Tarnowie.

Ś. p. ks. Aleksander Maryański, kapłan wielkich cnót i zalet umysłowych, znakomity bibliograf i znawca dziejów XVII. i XVIII. stulecia, który czas dłuższy pracował dla chwały Bożej w Galicyi — w Gnieźnie.

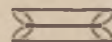
† Ś. p. ks. dr. Karol Feliś T. J., młody, uzdolniony wielce kapłan, piękne nadzieje rokujący pracownik na niwie archeologii chrześcijańskiej — w Meranie.

† Ś. p. Jan Gautier, b. urzędnik Banku polskiego, inicjator kasy emerytów, szpitala na Pradze, ochron, szkół, opiekun ubogich — w Warszawie.

† Ś. p. Roman hr. Bniński, żołnierz z r. 1863., sy-

birak, jeden z najbardziej poważanych obywateli Ukrainy — w Wacławówce.

† Ś. p. Adam Gliński, starzec przeszło stuletni, jeden z ostatnich żołnierzy wojska polskiego z r. 1831., później uczestnik walk r. 1863. — w Częstochowie.



Humor i satyra.

PO ZAPASACH.

Płaczcie, płaczcie, lwowskie córzy,
Pełne krasy —
Oto wśród czasów zamieci
Już was nie olśnią ceinture'y;
Ukończone są zapasy,
Opuścili Lwów atleci!

Unieśli w dal swe oblicze
I nie powrócą tu wnet
Mistrze w rebours, tour de tête
Obydwaj Cyganiewicz.
Oni to — morowe chłopcy —
Przez swe bicepsy olbrzymie
W najdalszych kątach Europy
Rozsławili nasze imię!...

Lwowie! Czyż się przyzwyczaim,
Że znikł z nimi Wildmann-Chaim?
I cóż egzystencya warta,
Czem rozjaśnić życia tło,
Skoro zabrakło Lassartes'a,
I Chińczyka Li-Hung-Po?...

Długo jeszcze — jak z za chmur —
Jawić się nam będą w śnie
Mężne ceinture à rebours,
Przewspaniałe bras roulé!...

Pociechą chyba jedyną,
Że pozostały nam... „kino“.
Dreamland, Bajka i Apollo
Raz przypieprzą, raz posolą;
Elite, Fraszka i Gioconda
Wzruszą choćby i wielbłąda;
Uniosą fantazyę w dal
Helios, Saturn, Sans rivale;
Nie poskapią słodkich chwil
Grażyna, Lux i Vaudeville;
W Światowidzie wyobraźnię,
W Wonderlandzie serca paście,
Jest w czym wybrać. Wszak — wyraźnie —
Mamy „kinów“ siedemnaście!
W nich to tłumny zastęp gości,
Panowie, damy, dziewice
Ćwiczą smak swój w estetyce,
Biorą lekcye moralności —
I cisnąć się, niby śledzie
Z dumną w duchu prawią miną:
A przecie nasz Lwów na przedzie,
Wziął rekord liczbą swych „kino“!

Babińczyk.

